Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 22. Leszno, dnia 1. Grudnia 1838.



Grób królowéj Katarzyny Jagiellonki w kościele katedralnym w Upsali.

Grób królowéj Katarzyny Jagiellonki w kościele katedralnym w Upsali.

Katarzyna królewna polska, córka Zygmunta I. i Bony Sforcyi: z urodą niepospolitą łączyła prawdziwie anielskie przymioty duszy, dobroć i litość. Przytem nie zbywało jéj na mocy charakteru, rodowi Jagiełłów właściwéj. Tyle cnót nie mogło się długo taić w ukryciu; zasłyszał o nich Jan xiążę Finlandyi, brat króla Szwedzkiego Eryka XIV. i przez Jana, hrabię na Tęczynie, wojewodę Lubelskiego, posła w ówczas polskiego przy dworze szwedzkim, prosił o rękę Katarzyny. Tęczyński sam, ujęty wdziękami pięknéj Cecylii, siostry Jana i Eryka, nie omieszkał przysłużyć się szwagrowi przyszłemu uiszczeniem się najsumienniejszém z poleconego obowiązku. Wkrótce zyskał zezwolenie Zygmunta Augusta, brata Katarzyny, na związek ten i przybył z xięciem Janem, naprzód do Gdańska, a potem do Wilna, gdzie dnia 4. Października roku 1562 odprawiono zaślubiny bez żadnéj okazałości i z pośpiechem; ponieważ Eryk, będąc z Polską w zatargach o Inflanty, mógł łatwo cofnąć dane słowo, i zakazać bratu łączyć się z dworem, jemu w ówczas nieprzyjaznym. Małżonkowie, wróciwszy do Finlandyi, nie długo się cieszyli szczęściem i spokojnością. Albowiem podejrzliwy król Szwedzki, mając Jana w porozumieniu, jakoby mu koronę chciał wydrzeć, a nawet ożenienie się jego, na które przecież poprzednio sam był zezwolił, za zbrodnię mu poczytując, kazał go stanom państwa jako zdrajcę kraju na śmierć osądzić. Dla wykonania tak srogiego wyroku wtargnął z wojskiem do Finlandyi, i zamkniętego w zamku Abo xięcia, przyrzeczeniem zachowania mu życia, do poddania się skłonił, zkąd go wraz z żoną do Sztokholmu pod strażą odesłał. Katarzyna miała mieć wolność i stósowne do stanu swego utrzymanie. Pamiętna na przysięgę małżeńską wzgardziła wszystkiem; ministrowi z tem oświadczeniem do niéj przybyłemu, zamiast odpowiedzi, pokazała tylko pierścień ślubny z napisem „nemo, nisi mors“ (chyba tylko śmierć rozłączy) i udała się za mężem do więzienia zamku Gripsholm. Potrzebował Jan czułéj i troskliwéj towarzyszki, aby lała balsam pociechy w serce jego, i ciężarem własnéj niedoli znękane, i śmiercią okropną sług najwierniejszych dotknięte, na których ciała poćwiertowane i głowy na pal wbite, z okna swego patrzeć musiał.

W ciągu téj kilkoletniéj niewoli powiła najprzód córkę Izabellę w r. 1564, która we dwa lata umarła, a potém syna Zygmunta, późniejszego króla Polskiego, pierwszego Wazę, który dnia 20. Czerwca 1566 przyszedł na świat. Udało się nareszcie Janowi zmiękczyć serce brata i traktatem w Swartsioe w r. 1767 z nim uczynionym, uwolnić się z więzienia, a gdy okrucieństwa Eryka, których się nad najznaczniejszymi obywatelami państwa dopuszczał, były dostatecznym dowodem jego obłąkania zmysłów, za zezwoleniem stanów, po nim koronę objął. Widzimy teraz Katarzynę z dobrowolnego więzienia wstępującą na świetny tron Wazów, który do końca życia zdobiła, nie wykonywaniem przykréj niekiedy władzy królewskiéj, lecz obowiązków prawdziwie chrześciańskich, najdroższych kamieni w koronie każdego monarchy. Stronnicy bowiem obłąkanego i uwięzionego Eryka, będąc przez nowy rząd prześladowani, do niéj się uciekali, i zawsze znajdowali opiekunkę, która ich dolą słodzić i skłonne do zemsty serce męża łagodzić umiała. Wiadomo, że król Jan przez zaprowadzenie nowéj liturgii, do obrzędu katolickiego zbliżonéj, oburzył przeciwko sobie znaczną liczbę xięży, i nie mogąc ich do przyjęcia téjże przywieść, kazał opierającym się probostwa odbierać i w więzieniach ich osadzać. Lecz i tu czułe serce Katarzyny, lubo do religii swych przodków nadewszystko przywiązanéj, niemogło obojętném patrzeć okiem na niedolą ludzi, chociaż odmiennego wyznania; uwięzionych zasiliła pokarmem, ze łzami wypraszała im wolność u męża, a wypuszczonym własną ręką dawała wsparcie na drogę mówiąc: „Idźcie i powiadajcie przyjaciołom waszym, jak się z wami obeszła ta, którą waszą nieprzyjaciołką zowiecie.“ Jak był świątobliwy jéj żywot, tak też i śmierć przykładna. Widząc nadchodzącą chwilę, w któréj się stawić miała przed stwórcą, z rąk spowiednika swego, X. Warszewickiego, Jezuity, przyjęła ss. sakramenta i zobowiązawszy dzieci swoje Zygmunta i Annę, młodszą siostrę jego, aby nieodstępowali wiary katolickiéj, zasnęła w Bogu dnia 16. Września 1583. Strapiony małżonek, niezdoławszy czém innem, uczcił pamięć jéj wspaniałym pomnikiem w kościele katedralnym w Upsali wzniesionym, którego część rycina wystawia. Jest to nisza, w kształcie kaplicy, ozdobiona herbami królestw polskiego i szwedzkiego, i xięstw ostatniemu podległych. Między herbami, w ścianie środkowéj, marmurowa tablica na cztery podzielona pola, na niéj ryte łacińskie dystychy, zawierają opis życia i cnót zmarłéj, któréj posąg marmurowy, w koronie i odzieniu królewskiém, spoczywa w sarkofagu środek kaplicy zajmującym. Sarkofag także herbami polskim i szwedzkim i napisami łacińskiemi ozdobiony, z których ten najcelniejszy, ponieważ przypomina jéj rzadkie przymioty; oddajemy go po polsku:

„Niechaj w niebie zyska pokój błogosła-
„wiona Katarzyna, która była jedyną pociechą
„swych poddanych.“

I to także uwagi godne, iż podczas przeniesienia zwłok jéj do tego grobu, arcybiskup protestancki w mowie, na cześć jéj mianéj, te wyrzekł słowa:

„Pomiędzy licznemi królewskiemi cnotami i „ta niepoślednie trzyma miejsce, iż w religii

„rzymsko - katolickiéj, w wierze Jagiellonów, „swych potężnych przodków, oprócz któréj nie- „masz zbawienia, stale aż do zgonu wytrwała.“

***

X. Michał Karpowicz.

Ten, który cały dla dobra ludzi i kraju żył, godzien, aby imię jego z wdzięcznością i uwielbieniem wspomniane było w piśmie naszém. Takim jest X. Michał Karpowicz, biskup Wigierski, którego prace w społeczności, posługi w kościele chrystusowym, dzieła w uczonym świecie, nieśmiertelnym uczyniły.

Urodził się Karpowicz w województwie Brzeskiém r. 1744, gdzie także odbywszy pierwiastkową edukacyą w szkołach XX. Jezuitów, udał się w 17tym roku do zgromadzenia XX. missyonarzy w Warszawie, aby dalszém ćwiczeniem nadzwyczajne umysłu przymioty rozwinął. Ledwie 22 lat ukończył, gdy publicznie u Ś. Krzyża kazać zaczął, z pożytkiem i zadziwieniem słuchających. Wezwany do opowiadania nauki chrystusowéj u Ś. Jana, gorliwemi kazaniami zajmował wszystkich, tak dalece, iż kazania te za staraniem biskupa Warszawskiego, Andrzeja Młodziejowskiego, na widok publiczny wydane zostały. Z Warszawy do Krakowa przeniesiony X. Karpowicz, na uczenie teologii i na opowiadanie wiernym słowa Bożego, wkrótce i tutaj potrafił sobie zjednać wszystkich serca i szacunek. Tam go poznał prałat Ostrowski, właśnie naówczas z wyborem xiąg z Rzymu przybyły; a spostrzegłszy w Karpowiczu niepospolity jeniusz i talenta, wielką mu część z przyniesionych xiążek darował, innych do czytania udzielił. Te on wszystkie w krótkim czasie przeczytał, strawił, i przy szczęśliwéj pamięci, niezmierną rzeczy wiadomością umysł swój zbogacił.

Z takim wiadomości i nauk skarbem ujrzało go wśród siebie miasto Wilno: chciała Opatrzność, aby trzy państwa niegdyś polskiego stolice, najpierwéj z światła jego korzystały i imię Karpowicza sławiły. Dawał on w seminaryum wileńskiém historyą kościelną, lat kilka, i po pierwszym zaraz roku wyszła z druku, która z porządku rzeczy, jasności mowy i smaku niezmiernie podobała się wszystkim i zwróciła na autora oczy biskupów i całéj światlejszéj cząstki narodu. Wykładał także teologią i pismo ś. w akademii wileńskiéj przez lat 12, i do téj przyszedł z wymowy swojéj wziętości, iż żaden trybunał, żaden zjazd krajowy, żadna pamiętna epoka narodu, niebyły dosyć świetnemi, jeśli ich Karpowicz dobitną i przyjemną wymową nie uzacnił i nie przyozdobił.

Proboszcz w Grużyskach, a potem w Prenach, znał owieczki swoje, udzielał im zdrowego duszy pokarmu, w naukach swoich parafialnych; ratował w potrzebie, cieszył w niedoli, kochany od wszystkich, jako troskliwy pasterz i gorliwy obrońca należytości i swobód ludu wiejskiego. Kazania Karpowicza, prócz wpajania w serca słuchaczy miłości cnoty, religii, czystéj moralności, uszanowania dla praw boskich i ludzkich, są zawsze stósowane do potrzeb ludu i kraju. Poważał go wielce dlatego król Stanisław August, i tę mu między innemi dał pochwałę, iż tchnął duchem prawdziwéj moralności, że w takim gatunku kazań nie miała jeszcze Polska kaznodziei, któryby naukę o prywatnych i osobistych każdego człowieka powinnościach, umiał tak jasno i tak użytecznie łączyć z powinnościami obywatelskiemi, jak Karpowicz. Jakoż był nieustannie gorliwym o dobro kraju, we wszystkich mowach swoich, kazaniach i czynach, to jedynie miał na celu, zalecał i wpajał; ztąd poszło, iż owa mniéj okazała, lecz cnotliwsza cząstka narodu, całą ufność swoją względem ulepszenia zasad rządu, a przez to losu ojczyzny, w nim położyła, i na wszystkich zjazdach publicznych i sejmikach, osobliwie w czasie sejmu konstytucyjnego, zdanie jego było zdaniem wszystkich przytomnych: głos jego, patryotyzm, wymowa, kierowały umysłami i sercem wszystkich, krótko mówiąc: w czasie zbierającéj się burzy na zgubę ojczyzny, umiał on być nietylko nauczycielem cnoty, światłem kościoła, stróżem religii, lecz razem chwałą nauk, wyrocznią obywatelstwa.

Po podziele kraju, gdy wszystkich serca boleść i smutek ogarnęły, cierpiał wiele czuły Karpowicz, i ztąd wpadł w długą i ciężką chorobę; lecz zachowała go jednak Opatrzność na dobro religii i kościoła. Jakoż zjechawszy w r. 1796 w raz z innymi do Gumbina, na oddanie hołdu nowemu panu, miał niespodzianie mowę do zgromadzonych na ten akt obywateli, mowę godną siebie, w któréj i sławy upadłego narodu nieponiżył, i ministrowi do odebrania przysięgi przybyłemu, przypodobać się umiał. Tam, mimo oczekiwania, mianowany został biskupem nowéj dyecezyi wigierskiéj.

Tu nowe otworzyło się pole prac i trudów dla Karpowicza. Sto czterdzieści kościołów, od 3 dyecezyi oderwanych, potrzebowały pasterza i urządzenia. Był wyznaczony biskup, lecz nie było katedry, niebyło prałatów ku pomocy, niebyło seminaryum i wielu innych rzeczy. Trzeba było to wszystko na nowo tworzyć, urządzać i stanowić. Obszerna i gruntowna Karpowicza nauka, baczność na stósunek praw nowych do starych, trafność w prowadzeniu interessów, wytrwałość w pracy, potrafiły temu wszystkiemu zaradzić. W przeciągu trzech lat niespełna, załatwiono wszystko. Lecz ogromne, i ciągłe te prace, przez niego samego wykonane, osłabiły Karpowicza zdrowie, nadwątliły siły ciała, i zmieniły żywość umysłu pełną ognia; pracować jednak nieprzestał, bo dobro religii i kościoła



X. Michał Karpowicz.

nad życie swoje przekładał, aż wyniszczony pracami umarł r. 1803, przeżywszy lat 59. Umarł zawcześnie kościołowi i naukom; żył dosyć sobie, dosyć cnocie, zasłudze i chwale.

Pisma jego częścią z druku wyszłe, częścią w rękopismach pozostałe, a staraniem brata jego rodzonego Józefa Karpowicza zebrane, wyszły w Warszawie u XX. Pijarów r. 1807, w 8 tomach. We wszystkich pismach Karpowicza wymowa jest płynna, mocna i pełna ognia, lubo czasem jest rozwlekły i często się powtarza; moralność jest czysta, ze źródeł niezmąconych czerpana, obowiązki prywatne człowieka i publiczne obywatela, z zapałem wykładane, ludzkość i miłość bliźniego prawdziwa, gorliwie zalecana; słowem miłość cnoty, religii i kraju rodzinnego, żarliwie w każdéj okoliczności wpajana. †X.

Kojata.

(Dokończenie.)

Sam Czernuch zdumiał się nad pięknością budowy. „Doskonały z ciebie cieśla," mówił do Milana, aleś się musiał piorunem zwijać téj nocy. Na tém się jednak nie skończy, mój bracie! Mam ja w domu trzydzieści córek. Jutro staną wszystkie przed tobą w rzędzie, a powiesz mi, która z nich najmłodsza Welena. Trzy razy wolno ci każdą obejrzeć. Jeśli zgadniesz, to dobrze; jeżeli nie, to się pożegnasz z twoją głową!"

Milan rozśmiał się w duszy, powrócił do swego pokoju i myślał sobie: „Teraz, toś mi się na tęgi koncept wysadził, panie Czernuchu! Jabym nie miał mojéj Weleny poznać? ... hm! hm!"

„Któż wie, czybyś ją poznał, bez mojéj pomocy?" rzekła pszczołka wlatując znowu do pokoju. Jest nas sióstr trzydzieści, a wszystkieśmy sobie podobne, jak dwie krople wody! Lecz słuchaj! Na mojém czole, usiędzie muszka i po tem mnie poznasz. Bywaj zdrów, królewiczu!

Nazajutrz, zawołano Milana; trzydzieści dziewic w bieli, stało już rzędem ze spuszczonemi ku ziemi oczyma. Czernuch siedział na stronie, złośliwie się uśmiechając; a królewicz, przeszedłszy raz rząd cały, zbladł, bo muszki na żadném czole nie było. Powolniejszym krokiem przeszedł drugi raz i zaczerwienił się, bo muszki na żadném czole nie było!

Szmer głuchy i ciche śmiechy rozległy się do koła; w tem usiadła maleńka, jak maczek, muszka, na skroni, żywym ogniem płonącéj. Co tchu schwycił Milan dziewicę za rękę i zawołał: „To jest Welena, najmłodsza twoja córka!"

„„Hm, hm! tu mi jakaś baba bróździ,"" rzekł Czernuch zagniewany, „„bo gdzie djabeł „„nie może, tam babę poślij! Ale baby mają

długie włosy, a krótki rozum! Złapię ja ciebie, ptaszku, poczekaj! Za trzy godziny staniesz znowu przedemną; wtedy zapalę słomkę; a pierwéj nim się do końca dotli, masz uszyć parę botów. Jeżeli je uszyjesz, to ci powiem: „tęgi szewc z ciebie!“ a jak nie, to się inaczéj rozmowiemy!“‘‘

Powróciwszy do swego pokoju, chodził Milan szerokim krokiem i marszczył czoło, aż mu się brwi ze sobą stykały.

„Ja syn królewski, mam bóty szyć!... Nie, „nigdy! nigdy tak rodu mojego nie splamię!“ Kiedy to Milan do siebie przemawiał, wleciała piękna Welena przez okno: „„Więc cóż my- „„ślisz robić?‘‘‘ zapytała go z niespokojnością.

„Umrzeć wolę, z ręki tego łotra; a szyć bótów nie będę!“ „„Nie, mój miły, ty umrzeć „„nie możesz, bo i jabym wtedy umarła,‘‘‘ rzekła Welena. „„Albo więc przełam twój „„upór, albo się ratuj ucieczką!“

To mówiąc plunęła na okno, a ślina przymarzła do szyby. Poczem wyprowadziła Milana z pokoju, zatrzasła drzwi na rygle, i przybywszy na miejsce, kędy się w ziemię zapadli, wyrzekła: hop! hop! i znów przed niemi było przestronne jezioro z kwiecistemi brzegami, na których pasł się jeszcze cisak królewicza. Ledwo zoczył pana swego, zarżał radośnie, przyklęknął do wsiadania i wnet popędził z Milanem i Weleną na wyskok.

Tymczasem Czernuch czeka i czeka na królewicza, a jego jak niemasz, tak niemasz! Wysела tedy swych dworzan po niego. Dworzanie przybywszy do drzwi zamkniętych, pukają; a ślina przymarznięta do szyby odpowiada: „zaraz przyjdę!“

Tę odpowiedź przynoszą Czernuchowi, który czeka na nowo i wysyła powtórnie służących. Powtórnie odpowiada ślina pukającym: „zaraz przyjdę!“

Rozgniewany tém do żywego Czarnoksiężnik, wrzasnął: „Czy on mnie myśli na dudka „wystrychnąć! Wyłamcie drzwi, i tu mi go „przywleczcie!“

W mgnieniu oka wyleciały drzwi podważone, a ślina w głos się rozśmiała. Czernuch o ledwie nie pękł ze złości, postrzegłszy próżną komnatę i wydał rozkazy do pogoni.

Cały rejment złych duchów rozbiegł się wszystkiemi drogami. Wtedy szepnęła Welena na ucho Milanowi: „Słyszę ja zdala tentent końskich kopyt!“

Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do do ziemi i rzekł: „Prawda! gonią nas, gonią i są tuż za nami!“

Welena pomruknąwszy kilka słów tajemniczych, zmieniła się natenczas w rzekę. Milana zamieniła w most żelazny, a konia w kruka.

Gdy pogoń dotarła do mostu, stanęła nagle jak wryta, bo dalej tropu nie było; a za mostem trzy drogi, na trzy się strony krzyżują. Co tu począć? Trudna rada, trzeba z niczem powrócić!

Czernuch wołał już z daleka do powracających: „Połgłówki! oszukano was; ten most i owa rzeka, to byli oni sami; dalej za niemi na nowo; albo was ukamienować każę!“ W téj samej chwili szepnęła piękna Welena Milanowi: „Słyszę tętent końskich kopyt!“ Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Gonią nas i są tuż za nami!“

Bez zwłoki więc zamieniła Welena siebie, Milana i konia w gęstą i ponurą knieję, z tysiącem krętych ścieżek. W niéj zdało się ścigającym, jak gdyby przed sobą widzieli dwóch jeźdźców; a goniąc za niemi, tak się zbłąkali w bezdrożach, że powrócili na miejsce, kędy się schodzi do podziemnych krain Czernucha. Wtedy dopiero knieja, ścieżki i jeźdźcy jak sen przed nimi zniknęli.

Sam Czernuch wsiadł tedy na swego karosza, a Welena szepnęła znowu drżącym głosem: „Biada nam! Czernuch, mój ojciec, nas goni! Ale przy pierwszym kościele kończy się jego władza i potęga. Podaj więc krzyż twój Milanie!“

Posłuszny królewicz, oddał swój złoty krzyżyk, któren mu matka królowa na piersi zawiesiła. Ledwo go ręką dotchnęła Welena, zamieniła siebie w klasztor, Milana w mnicha, a cisaka w dzwonnicę.

Szczęściem, że się pospieszyła; bo już Czernuch stał przed klasztorem. „Czy nie widziałeś tu ojcze! dwóch jeźdźców uciekających?“ zapytał się mnicha.

„Właśnie,“ odpowiedział zapytany, „wyru- „szył od nas z popasu królewicz Milan i piękna „Welena i kazali cię uprzejmie pozdrowić!“

„„Niech sobie jadą na złamanie karku!“‘‘ wrzasnął Czernuch zsiniały od gniewu, powrócił z kwitkiem do domu i dostał ze zmartwienia żółtaczki.

Milan zaś i piękna Welena zdążyli bezpiecznie do stołecznego miasta króla Kojaty, który im wkrótce sute wyprawił wesele. Zaproszono na nie wielu zacnych gości, między innymi mnie także. Bawiliśmy się wszyscy wybornie; piwa, miodu, wina było do zbytku, a jednak nikt nie lał za kołnierz!

Obrazy z przeszłości.

Tanka.

(Powieść góralska.)

O gdybyśmy umieli własne dzieje czytać,
I każdą garść téj ziemi o przeszłość zapytać:
Ach, z jakążby miłością rzekła nam o sobie,
I o życiu pradziadów i pradziadów grobie!...

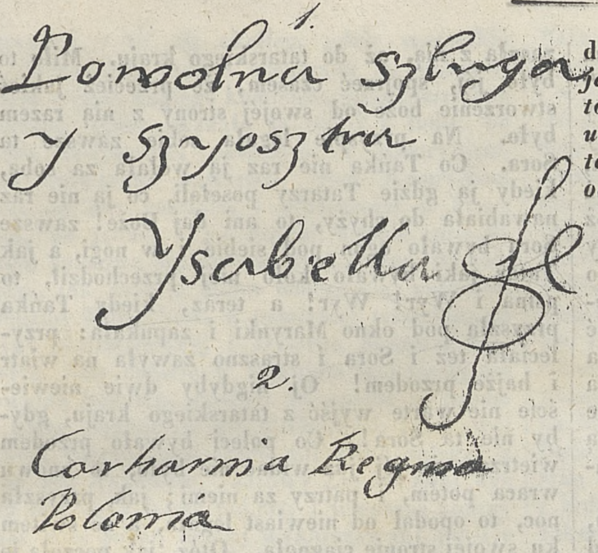
Nad miasteczkiem Liskiem leżącym w województwie ruskiém, ziemi sanockiéj, wznosi się kamień ogromny dziwacznego kształtu, zwany

Kustryniem. W téj okolicy, gdzie wszystkie góry, lasem lub ornemi obszarami są pokryte, sprawia widok nagiego kamienia, niespodziewane wrażenie; jakoż okazało to się i u ludu, bo podanie miejscowe, połączyło z Kustryniem, różne, dziwaczne powieści. Pod Kustryniem ciągnie się bity gościniec i odsłaniając w biegu swoim, po jednéj i po drugiéj stronie rozległe widoki, spuszcza się zwolna do Ucherec, wioski, niegdyś, jak całe to dobra uchereckie, należącéj do rodziny Mniszchów, a pamiętnéj mieszkaniem Maryny Mniszchownéj i Dymitra Samozwańca. Ucherce, leżą częścią w równinie stykającéj się z równiną Sanową, częścią są oparte o pasmo gór, które ciągnąc się ku wschodowi, tutaj swój początek bierze, przestrzeń mil kilku zalega, a zwane jest *Żukowem*. Jałowy Żuków miał być przed laty cały lasem pokryty i wtenczas piękny musiał mieć pozór, dzisiaj wykarczowany prawie do szczętu, tu i owdzie tylko jeszcze obrosły, świeci gliniastemi wyrwami i nagiemi stoki, od południa i północy stromo z potoki spadającemi. Na grzbiet Żukowa, przypada linia, która biorąc się na Leszczowate, po za Wisznic Sądową, Lwów i Winnickie góry ku Wołyniowi, jest działem wód z jednéj strony w czarne, a z drugiéj w baltyckie morze płynących. To pasmo gór ciągnie się od Ucherec, po nad Olszanicą, Stefkową, Ustianową, Równią, Hoszów i Raby, a kończy się we wsi Żołobku, która z podobieństwa do żłobu tę nazwę nosi i z lasami Łumniańskiego starostwa graniczące, jest zarazem jedną z granicznych wiosek ziemi Sanockiéj. — W tamtéj to stronie będąc, dla zwiedzenia pobojowiska w Hoszowie, gdzie Franciszek Puławski był rannym, poznałem starego bardzo człowieka z Rab sąsiednich, który podług powszechnego zdania, nie miał już sobie rówiennika, w całém państwie Hoszowskiém. Jak sam mówił, miał już przeszło sto lat, przygłuchy trochę, lecz jeszcze bardzo przytomny, rzeźwy i pewnego spojrzenia. Opowiadał on nam o różnych pamiętnych zdarzeniach, których naocznym był świadkiem z wielką dokładnością, a rozochociwszy się, mówił, o losach swojéj już dawno pomarłéj rodziny i o nieszczęściach wioski. Kiedyśmy Cerkiew mijali, wskazał na jesion około niéj stojący; niegdyś ogromném drzewem być musiał, jak po grubości jego sądzić można było, dziś pozostała z pnia samego tylko jedna połowa kory, która ną parę sążni wysokości się wznosząc, kilka u góry zielonych ma gałązek. Wskazał na drzewo i rzekł:

„Widzicie to drzewo? oj nie darmo ono tak zmarniało, bo to kiedy Tatary sioła palili, podciął go był Tatar, otóż i wybolało z téj strony. Bo to już taka twardo zatruta wiara w tych Tatarach, że się nie tylko człowiek nie obaczy, gdy go skaleczą, ale nawet i drzewinie szkodzi. Miałem ja babę, co w mojéj chyży (chacie) umarła, ona to wiele bywała gadała mi o tych Tatarach, bo była u nich w niewoli; dawno jéj to się już zmarło, będzie może lat 50 temu abo i więcéj, a ja to już takiego rodu, co długo żyją. Otóż ona powiadała, że tutaj na górze stał zamek w Hoszowie, a i ja go jeszcze zapamiętam. Tamto bywało, chowali się ludzie za wojen, abo też po lesiech. Zamek był setny, a przed górką, był most na łańcuchu i po dziś dzień, są tam jeszcze piwnice. Było to jakoś z południa i bydło pędzono w pole, aż tu od Ustrzyk wpadli Tatary! Strach Boży! Pan zamknął się w zamku i bił na nich, ale ludzie byli w polu przy robocie; otóż nie zdołali uciec, ani bydła w lasy pozaganiać. Zamku nie dobyli Tatary i dopiero za konfederacyi zgorzał; ale z Hoszowa i Rabego, tylko trzy chyże zostały. Na popiół wszystko spalili i zjedli, Cerkiew zrabowali, dobytek i ludzie a już najbardziéj białą czeladź, garnęli łakomo i gnali w Tatarszczyznę. Był tu wtenczas w Rabym xiądz Michał, otóż i jego w jasyr zabrali. Jak to się lud opamiętał, pognali za niemi z panem wojewodą, i jak gęsta poparła ręka, odbili coś dobytku, narodu i xiędza Michała. Ale moja baba Tańka i jeszcze druga dziewka z Rabego Marynka, były już gdzieś na przedzie, otóż je nie odbito, a moja baba była naówczas, jak na to po pierwszém dziecięciu, a niby po ojcu moim. Pognali niebogę! ale im wielkiéj krzywdy nie robili, tylko, że im mięso surowe jeść kazali. Otóż obie myślały, że to na to je niewolą do takiego jadła, aby potém zarznąć i zjeść, i tego też się najwięcéj bały. — Kiedy tam już w tatarskim kraju stanęły, otóż Tańka była w jednéj, a Marynka w drugiéj chyży, i zabroniono im było widywać się z sobą, i modlić się nie kazali. Trzy lata były w téj niewoli; przędły i bawiły dzieci. Aż tu się raz mojéj babie przyśniło, że była w Rabach w Cerkwi na odprawie z dzieckiem, a w tym wpadli Tatary, porwali jéj dziecko i rznęli go nożem, aż krew na nią pluskała. Otóż tak poczęła przez sen zawodzić, że się aż Tatary ze snu pobudzili i ją opamiętali. Potuliła żal swój nieco, widząc, że to sen, i mówiła o nim nazajutrz Marynie. „Dobrze to wróży ten sen,“ mówiła Marynka, „dobrze z tym, że krew na ciebie pluskała, bo Bóg wybawi nas z téj niewoli i krew twoja do ciebie się rzuci.“ Ale Tańka nie wierzyła temu i od tego już czasu taka ją nuda trapiła, że nie mogła się ostać od żalu za dzieckiem. Już jéj się nie brało, ni to jedzenie, ni spanie; jak poczęła sobie nudzić, jak poczęła boleć, to tak za miesiąc zmarniała, jakby ją trzy lata ciotka (febra) trzęsła. Strach! aż się sami Tatarzy dziwili. „Ej uciekajmy, na Boga!“ mówiła nie raz do Marynki. Ale Marynka bała się bardzo: „a nuż dopędzą? a nuż dopędzą i zarzną?“ — „Ej odważmy się! niechaj nas już i zarzną, tu to i tak czarna nasza dola!“ tam to nieraz jedna nieboga nad drugą, gorzkiemi płakała łzami. Nie raz baba moja

mawiała do mego ojca: „We łzach tych, com ja po tobie wylała, skąpaćbym się mogła.“ W końcu tedy zbuntowały się, a to tak: żeby Marynka złudziła nadrożne, a jak Tańka kiedy do niéj w nocy zapuka, to ona wyjdzie, i już, co będzie to będzie, a będą obie uciekały. Aż tu jak na to, były jakieś święta tatarskie, otóż się wszystkie Tatary gdzieś daleko do bóżnicy zabrali, a Tańka została sama z jednym tylko tatarskim dziewczęciem, któremu może z dziewięć lat było. Jeno że jéj Tatarzy kazali jeść nawarzyć i chleba napiec, za nim powrócą, a wrócić mieli za trzy dni. Otóż Tańka napaliła w piecu, a cudowne to jakieś mają być piece w tym tatarskim kraju, bo to równo z ziemią czeluście, a piec taki, że choć jałówkę wprowadzaj do niego.

Baba moja zakrzątnęła się około pieczywa, a dziewcze tatarskie poczęło się pastwić nad babą: nuż pchać patyki do oczu, do nosa, nuż siadać na głowę i jeździć na babie, a potém kazała się wozić po stole w małym wozku, co był dla dzieci. Otoż dopiekła do żywego, więc moja baba rozmachawszy wózek, nuż z dziewczęciem do pieca, w ogień, i zamknęła piec, a tylko zaskwirczało! Wtenczas porwała co żywo węzełek i tatarski nóż, wybiegła przed chyżą, aż tu się obłęd do niéj przyplątał, pociemniało w oczach. „A cóż ja zrobiła? biednaż moja głowa! gdzie tu uciekać?“ przed nią leżał step goły, ani go przebiec, ni się w nim uchować! Aż tu ją myśl naszła, ot i dobrze ugadła. Opodal od chyży były leże na stepie, gdzie stado tatarskie czasami stawało; tamto pasły się zazwyczaj stare klacze, co już mogły iść za stadem. Otóż pobiegła tam i przebiła jedną klacz nożem, rozpruła ją, odniosła na stronę wnętrzności, żeby się ptastwo nie zlatywało i jéj nie zdradziło, a sama wlazła w kadłub klaczy. Nic otem nie wiedziała Marynka. Pod wieczór przyjechali Tatary, patrzą: gdzież Tańka? ha, nie ma! Myśleli więc sobie, że poszła z dziewczęciem do Marynki w odwiedziny i daléj do jadła, wyciągają żer z pieca, ba węgiel! Aż tu patrzy mać tatarska i poznała pierścień dziewczęcia. Nuż w lament! a Tatary na koń i w stepy za babą, a baba w kobyle. A Tatarki wpadły do Marynki, nuż mordować dziewkę. Gadaj, gdzie Tańka? ty wiesz! gadaj, bo zabijem! i setnie ją bili Ale Marynka nic nie powiedziała, bo nic nie wiedziała. Dnia drugiego jadą Tatary, a baba moja słucha na leżach, ale Tatary jechali zwolna i smutno, bardzo frasowni, że nie dostali baby. Kiedy już w najlepsze usnęli, podniosła się Tańka i przyszła do okna, pod którém Marynka leżała i puk, puk, w okno! Zerwała się Marynka, wzięła co mogła i daléj! Oj tam to, kto cudu nie doznał, posłuchać je było, jak bywało o tém prawiły. Bo to kiedy Tańkę brali Tatary w niewolą, pobiegła za nią psinka, co ją „Sorą“ zwali, i zaszła z nią, aż do tatarskiego kraju. Miło to było jéj, spojrzeć czasem, że przecież jakieś stworzenie boże od swojéj strony z nią razem było. Na przyspie legała sobie zawsze ta Sora. Co Tańka nie raz ją wołała za sobą, kiedy ją gdzie Tatarzy posełali, co ją nie raz nawabiała do chyży, to ani daj Boże! zawsze Sora bywało ogon pod siebie i w nogi, a jak Tatar jaki bywało koło niéj przechodził, to psina i Wyr! Wyr! a teraz, kiedy Tańka przyszła pod okno Marynki i zapukała: przyleciała też i Sora i straszno zawyła na wiatr i hajże przodem! Oj nigdyby dwie niewieście nie warte wyjść z tatarskiego kraju, gdyby nie ta Sora! Co poleci bywało przodem wietrząc, że jéj już widać nie było, to znowu wraca potém, i patrzy za niemi; jak przyszła noc, to opodal od niewiast legała, a ze świtem ku swojéj stronie ciągnęła. Otóż, jak poczęła je tak prowadzić, jak poczęła prowadzić i prowadzić, otóż i wywiodła z Tatarszczyzny. Szły, szły niebogie i niewiedzić, ile to tam świata przeszły, a najcięższ im już było, za nim się do kozackiego kraju dobiły, potém puściły się gdzieś aż po kraj Wołoski, a wciąż Sora leciała przodem. Otóż dopiero dwie mile od Rabego, jak już do domu dochodziły, kopnęła się moja Sora przodem, a baba moja mówiła do Marynki: „ot szkoda naszéj Sory; znać wściekła się!“ a ona tymczasem leciała, wpadła do wsi, daléj przez wieś i do naszego obejścia, i nuż wyć po sieni, latać po podworzu. Otóż właśnie jak na to szli ludzie z Cerkwi, bo to się w niedzielę działo, więc poczęli się dziwować i przepowiadali sobie: „hej, hej, Sora jest, a Tańki nie ma!“ aż tu pod wieczór idą ludzie z nieszporu, a tu i Tańka wyszła na wierzch. Wtenczas xiądz Michał, co to także zaznał tatarskiéj niewoli, kazał bić we wszystkie dzwony, a co tylko było ludu na plebanii, we wsi i we dworze, wszystko to się zleciało, i chłop Tańki, a mój to niby dziad przybiegł, a za nim przybiegła i Tańczyna dziecina, co ją ludzie we wsi nazwali *„Tatarska sierotka“* bo Bóg ją cudem zachował, i była już gładko podrosła. Bo to widzicie, kiedy się ludzie opatrzyli w Rabach, po téj tatarskiéj najedzi, znaleźli to dziecię pod gruszką dnia drugiego na obejściu, ale do niego znać ani Tatar, ani ogień nie doszedł, bo było zdrowe, jedno że bardzo zgłodniałe. Otóż go wzięli panowie do dworu i hodowali za swoje, a ludzie nazwali go *„tatarską sierotką.“* Otóż to jak zobaczyli Tańką a przy niéj tatarską sierótkę, poczęli się cieszyć i płakać i modlić pod Cerkwią, i pytać o wszystko. Marynka mówiła: „Wszakżem ci gadała, że Bóg nas z téj biedy „wybawi, i że krew twoja do ciebie się rzuci.“ Ale Tańka nie słuchała tego, jedno przygarnęła dziecię serdecznie do siebie, i upadła na progu przed cerkwią. Marynka też to samo krzyżem leżała. Xiądz Michał pomodliwszy się, prze-



Facsimile:

1. Z listu królowéj węgierskiéj Izabelli, pisanego ze Lwowa dnia 15. Maja 1556, do brata Zygmunta Augusta.
2. Z listu królowéj Katarzyny, z Radomia, dn. 1. Października 1565 do Piotra Myszkowskiego Podkanclerza koron.

czytał nad ich głowami ewanjelią świętą i kazał im powstać, ale babę moją tak to sprężyło, tak zdrewniała, że ją z dziecięciem razem do domu zanieść musieli, bo dziecka nie chciała już puścić od siebie, i nie zaraz ochłonęła z tego żalu. Obie to obie, i baba moja i Marynka, straszny jakiś lęk już całe życie miały; nie rozłączały też się z sobą więcéj i obie pomarły w nim. Naprzód Marynka a potem Tańka. Otóż to straszne było dziwo, co się przez całe życie z niemi działo. Póki dzień, to jeszcze pół biedy; lecz jak już bywało słońce w nieszpór poszło, to trzęsło coś niemi i chodziło coś po nich i płakały, i jedna tuliła się do drugiéj i jedna bez drugiéj nocy nocować nie mogła, a dziwnie coś przepowiadały sobie; tak, że je człek (zachowaj Boże od złego!) ani to zrozumieć, ani to pocieszyć nie mógł. Znać Tatarki czarami za niemi rzuciły, że je już tak, aż do śmierci trapiło. Marynka umarła wprzódy, ale moja baba żyła jeszcze długo i do śmierci nam wszystkim, a nawet jeszcze dzieciom moim przepowiadała: „*Dziatki moje, jeżeliby jeszcze kiedy Tatary do was wpadli, to raczéj śmierć sobie zróbcie, nóż w sobie utopcie, w ogień, w wodę skoczcie, ale nigdy téj krwi swojéj pogańskiéj wierze w ręce nie oddajcie!*“

W. P.

Ja i skowronek.

(W imionniku.)

Ja.

Czemuż z ojczystéj ulatasz ziemi,
Skowroneczku, skowroneczku;
Czemuż pieśniami gardzisz naszemi
Kochaneczku, kochaneczku?

Czyć nie lepiéj na tym łanie,
Na téj niwie kwiatem strojnéj,
Gdzie potoków dźwięczne granie,
Bratnich pieni hymn spokojny!

A patrzno, patrzaj, jako tam czarno,
Kędy wiotkiemi ulatasz pióry;
Ciemną ulewą, pioruny skwarną,
Zawrzały falą zsiniałe chmury!

Skowronek.

Cóż mi te pienia, cóż mi te róże:
Nie dla mnie dźwięczą, nie dla mnie kwitną:
Gdzie huczą nieba, kędy wrą burze,
Ztąd walą błyski w skał pierś granitną;
Tam ma ojczyzna, tam moje żale
Mięszam swobodny z jękiem żywiołów,
A wspólną piosnkę ryczące fale
Grzmią do edeńskich mieszkań aniołów;
Aż ją przed tron Zbawiciela,
Rozleję hymnem wesela.
Tutaj próżno szerzyć jęki,
Obce ludziom me piosenki!

Ja.

Leć więc szczęśliwie biedna ptaszyno,
Kędy cię tajne niosą cierpienia,
A gdy tam staniesz nad tą krainą
Zron z twą piosenką i me westchnienia!

Jam jeszcze nucił, i jeszcze
Wyrwane z duszy, za nim goniły
Tęsknéj duszy pienia wieszcze,
Jego — już z dawna fale zakryły!

A. B.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)